

Leopold albo o religii światła i barwy

Autor tekstu: **Andrzej Rusław Nowicki**

Osoby:

WŁADYSŁAW,	lat	60
HANKA,	lat	62
FRYDERYK, lat 19 i 62		

Początek rozmowy dnia 20 maja 1938 roku w mieszkaniu prof. Witwickiego w Warszawie, ciąg dalszy w Instytucie Psychoneurologicznym, we wrześniu 1981 r.

Były takie lata w moim życiu, puste i mało interesujące, o których trudno byłoby napisać nawet dwie lub trzy strony. Ale za to w innych latach zdarzały się dni tak bogate w treść, że należałoby je utrwalić w kilku pękatych tomach. Do takich dni należał piątek 20 maja 1938 roku — dzień mojej pierwszej wizyty w mieszkaniu profesora Witwickiego.

Z barwnej tkaniny naszej ówczesnej rozmowy można w nieskończoność wyciągać i przypominać różne wątki. Na przykład wątek dotyczący p o e z j i.

WŁADYSŁAW

Podoba mi się twój wiersz, zwłaszcza tytuł: „Godzina ciszy”. To dobrze, że wybrałeś taki temat. Wzdrygam się na myśl, że mogłeś przynieść mi jakiś inny wiersz, na przykład „Godzinę hałasu”, „Zgrzytanie nożem po szkło” albo „Prucie nożem brzucha”. Teraz pisze się i takie wiersze. A przez twój wiersz prześwieca uśmiech Ateny, oczekiwanie na chwilę, w której zdejmie pancerz i odsłoni dziewczęcą pierś.

Podoba mi się też to, że — nawiązując do tradycji sarmackiej — wplotłeś do swego wiersza wiele słów łacińskich, pragnąc w ten sposób uczynić swój wiersz bardziej dostojnym i majestatycznym, wytworzyć wokół procesu myślenia nastrój sakralny. Szkoda tylko, że są błędy w akcentach. Jeżeli występujące w wierszu słowa łacińskie będą prawidłowo akcentowane, to zburzą rytm wiersza.

FRYDERYK

Istnieje prawo poety do transakcentacji. Korzystał z niego Mickiewicz w „Panu Tadeuszu” i Charles Baudelaire w wierszu łacińskim, sławiącym piękno ukochanej Franciszki.

WŁADYSŁAW

To miłe, że zna pan Francscae meae laudes. Ale szkoda, że właśnie jego wziął pan sobie za wzór. W akcentowaniu słów łacińskich. To był znakomity poeta, ale z łaciny należał mu się stopień niedostateczny.

FRYDERYK

Czy mogę o coś zapytać?

WŁADYSŁAW

Proszę, pytaj.

FRYDERYK

Czy mógłby mi pan profesor opowiedzieć o swoich spotkaniach z poetami. Czyje wiersze najbardziej pan lubi? Czy miał pan profesor wśród poetów jakichś przyjaciół?

WŁADYSŁAW

Zacznijmy od tego, że pisać wierszy nie próbowałem nigdy; wydawało mi się, że ci, którzy to robią, udają coś i coś bezwstydnie pokazują przed drugimi czy przed sobą; nie miałem też nigdy żadnych ambicji ani aspiracji pisarskich.

Niełatwo więc, przychodziła poetom przełamać moje opory, rozbudzić moje zainteresowanie i pozyskać moje zaufanie. Przeważnie traktowałem pisane przez nich wiersze jako materiał do badań psychologicznych nad nieszczerością, zakłamaniem, sprzecznościami wewnętrznymi i zaburzeniami psychicznymi. To dobry materiał do badań, ponieważ wiersze należą do takich wytworów ludzkich, w których odsłaniają się ukryte skłonności, marzenia, upodobania.

Ale jak wszyscy młodzi ludzie z mojego pokolenia wychowałem się na się na trzech wieszczach i Sienkiewiczu. Zdawało mi się, że spośród trzech Mickiewicz najmniej pozuje i najwięcej prawdy mówi. Z niego też najwięcej uczyłem się na pamięć. Serdeczny i trwałe stosunek nawiązałem w klasie ósmej z Horacym i Platonem. Spośród wszystkich poetów na

świecie najbliższy mi był zawsze Platon, z którym obcuje bez przerwy już 42 lata.

W czasie studiów uniwersyteckich zaprzyjaźniłem się z moim rówieśnikiem, Leopoldem Staffem. Ja kierowałem kółkiem filozoficznym, a on kółkiem literackim. On należał do najgorliwszych uczestników kółka filozoficznego, a ja wygłaszałem często referaty o sztuce u niego, w kółku literackim. Nasza przyjaźń trwa już czterdzieści lat, a utrwaliła ją współpraca w „Sympozjonie”. To Staff zamówił i wydrukował mój przekład „Ucztę” w redagowanej przez siebie serii. Z tego przekładu napisał w 1910 roku piękną recenzję Bolesław Leśmian, ale jego poezja jakoś do mnie nie przemawiała.

Stykałem się także z Janem Kasprowiczem. Był redaktorem tygodnika, w którym ukazywały się moje pierwsze prace. To był taki poeta, który nie udawał filozofa i nie uprawiał nauki, a nie bardzo miał z czego żyć. Pod wpływem Twardowskiego napisał pracę doktorską i habilitacyjną i został profesorem na katedrze literatury. Byliśmy więc na Uniwersytecie Lwowskim kolegami.

W latach lwowskich zaprzyjaźniłem się także z rodziną Wolskich. Tam wszyscy pisali i drukowali wiersze. Przede wszystkim Maryla Wolska, autorka pięknego „Dzbanka malin”. Okropne były wiersze jej męża, Wacława Wolskiego, który był zdolnym inżynierem i przemysłowcem, a koniecznie chciał być także poetą i filozofem. Za to córki były bardzo dobrze wychowane, Beata poszła w ślady matki i raz po raz wydaje jakiś tomik wierszy, a Lela odziedziczyła talent malarski po dziadku, Karolu Młodnickim.

Oto i wszystkie moje kontakty z poetami w latach lwowskich. Po wojnie poezja zesłała na psy, podobnie reszta jak malarstwo. Nie wystarcza okropna treść, zerwano także z ortografią i gramatyką. Czy widziałeś co Ci futuryści wyprawiają z polską mową, jak starają się ją zeszpeci i okaleczyć? To powinno być sądownie karane!

Albo taki arogant Słonimski czy Tuwim. Powiedz sam, po co taki Tuwim zabiera się do pisania o Sokratesie, nie mając w ogóle żadnego pojęcia o jego życiu i filozofii.

Kiedy się przegląda wiersze współczesnych poetów, jakże się wtedy zaczyna cenić dobrą starą poezję: Kochanowskiego i Reja, Ignacego Krasickiego, Mickiewicza i Słowackiego. Zacząłem sobie na nowo odczytywać ich wiersze, odkrywać dyskretny urok ukrytych aluzji, głębię obserwacji psychologicznych. Nabrałem chęci do ilustrowania takich arcydzieł jak „Pan Tadeusz” czy „Beniowski”.

W zestawieniu z upadkiem współczesnej poezji polskiej nawet taki Staff zaczyna rosnąć w oczach i może wydawać się olbrzymem. Leopold zna dobrze poetyckie rzemiosło, pracuje solidnie nad swoimi wierszami, ma swój zawodowy honor i pilnuje się, żeby nie oddawać do druku wierszy lichych. A to, co pisze, jest sympatyczne.

Poeta				kocha:
"Koronkowość		srebrnych		firanek;
Złote	brzęczenie	pszczelich		skrzydełek;
Wodno-tęczowych		niestałość	szkiełek	...
Cyzelowany	pięknie	filigran		...
poezję starych studni, zepsutych zegarów" -				

no, dla mnie osobiście więcej poezji mają w sobie zegary nie zepsute; dobrze pracujące. Ale to kwestia upodobań.

Staff kocha szczerze starożytną Grecję i renesansową Italię — „ziemię rodzącą włoskie wino i greckie posagi”, „ziemię cudów”.. Kocha „otchłanne piękno wszechświata”. Dusza jego przepełniona	jest:
"bezgranicznym	oddaniem
W wielkiej i świętej	miłości
Dla Wszystkiego, co przestwór pięknnością wypełnia".	

Bliska mi jest **religia Staffa**, którą w „Hymnie” do barw nazwał „religią światła i barwy”. To jest religia, którą wyznaje każdy prawdziwy malarz i każdy człowiek, który potrafi właściwie korzystać z tego cudownego daru, jakim są **oczy**.

*

Dalszy ciąg tej rozmowy o poezji miał miejsce czterdzieści trzy lata później. Moja książka o Witwickim była już napisana, liczyła pięćset stron maszynopisu, ale przed oddaniem jej do Wydawnictwa postanowiłem jeszcze raz zobaczyć się z osobami, które pomogły mi „odzyskiwać utracony czas” i wydobywać z „mrocznych głębin zapomnienia” to, co należało ocalić od ostatecznej zagłady, utrwalić i przekazać potomnym — aby sprawdzić, czy nie pogubiłem się w ich opowieściach o Witwickim i nie poplątałem prawdy ze zmyśleniami.

Z Hanką chciałem się spotkać nie tylko z tego powodu. Czułem, że książka jest niby już gotowa, a przecież czegoś jej jeszcze brakuje. I to nie jakiegoś drobiazgu, ale czegoś bardzo ważnego, o czym zapomniałem, a co miało stanowić rację jej istnienia.

O czym zapomniałem?

Było tak, jak po przebudzeniu się z interesującego snu. Wiemy, że śniło się nam coś bardzo ważnego i chcemy to sobie przypomnieć, ale resztki snu rozwiewają się i coraz trudniej je schwytać.

A może należałoby pójść do psychiatry? Do kogoś, kto potrafi naprowadzić nas na zgubiony trop i spowodować przypomnienie sobie tego, co powinno być przypomniane?

Do psychiatry? No właśnie. Zamierzałem spotkać się z Hanką, żeby odczytać jej kilka dialogów, a zapomniałem o tym, że jest docentem psychoneurologii i że przede wszystkim do niej powinienem się zwrócić w tej sprawie o pomoc. Powiedziałem więc na samym początku rozmowy tak:

FRYDERYK

Dwa lata temu bardzo mi pomogłaś przy odtwarzaniu wspomnień o Witwickim i o Baley. Po spotkaniu z tobą, we wrześniu 1919 roku zabrałem się do pracy i książką, którą wtedy chciałem napisać, jest już w zasadzie gotowa i chyba nawet ma taki kształt, jaki wówczas sobie wymarzyłem. Miałem więc już wysłać ją do Wydawnictwa, ale coś mnie jeszcze od tego powstrzymuje. Jakieś takie niejasne odczucie, że czegoś ważnego nie dopowiedziałem. Postanowiłem więc zwrócić się do ciebie jako do psychiatry z prośbą o pomoc.

HANKA

Nie sądzę, żeby potrzebna ci była pomoc psychiatry. Nie myśl, że należę do tych psychiatrów, którzy uważają wszystkich ludzi za psychopatów i u każdego gotowi są wykryć jakieś zaburzenia psychiczne. Przeciwnie. Im dłużej zajmuję się rehabilitacją osób uważanych za psychicznie niepełnosprawne, tym bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że choroby psychiczne — we właściwym znaczeniu tego słowa — są zjawiskiem niezwykle rzadkim. Najczęściej mamy do czynienia z nieprzystosowaniem się człowieka do środowiska, a w przeważającej większości przypadków wina nie leży bynajmniej po stronie człowieka nieprzystosowanego, toteż najlepszą terapią jest przekształcanie środowiska.

FRYDERYK

Kiedy o kimś mówi się, że jest mu potrzebna pomoc psychiatry, to ma się zwykle na myśli to, że ten ktoś ma jakieś problemy ze swoim własnym wnętrzem. Kiedyś rozmawiałem na ten temat z Witwickim, że u podstaw zainteresowania psychologią leżą zwykle jakieś własne kłopoty psychiczne.

Zdarzyć się więc może — i już teraz zaczyna mnie to trochę irytować — że kiedy książka moja zostanie wydrukowana, wystawiona na witrynach i ludzie zaczną ją czytać, to znajdą się również tacy czytelnicy, którzy powiedzą: — Cała książka poświęcona jest problemowi rozszczepienia osobowości, w każdym dialogu powraca ten sam wątek, najwidoczniej więc autor tej książki miał jakąś lekką schizofrenię, nie mógł sobie dać rady z własną dezintegracją i stąd właśnie jego obsesja.

Otóż w tym sensie psychiatra nie jest mi potrzebny. Moje własne wnętrze nie przysparza mi żadnych kłopotów; ma oczywiście rozmaite mankamenty, ale w sumie jest dość dobrym narzędziem do realizowania tych zadań, które przed sobą stawiam.

W tej książce zadaniem, które przed sobą postawiłem, jest istotnie problem policentrycznej struktury osobowości, a konsultacja psychiatry jest mi potrzebna z tego powodu, o którym mówił Witwicki twierdząc, że psychiatra ma wiele do powiedzenia historykom kultury, psychologom i w ogóle przedstawicielom wszystkich nauk humanistycznych, ponieważ to, co pojawia się na badanych przez nich obszarach, psychiatra ma przed sobą niejako w powiększeniu, w postaci wyolbrzymionej, a dzięki temu łatwiejszej do zbadania.

A to, co powiedziałaś o dwóch kategoriach psychiatrów, utwierdza mnie w przekonaniu, że trafiłem pod właściwy adres. To jest bowiem główna myśl mojej książki, że zjawisko rozszczepienia osobowości nie ma w sobie nic chorobliwego. Nie o to chodzi, żeby je leczyć, ale o to, żeby zaakceptować jego istnienie i właściwie wykorzystać dla rozwoju osobowości każdego człowieka i dla rozwoju całej kultury.

Co za szczęście! Przypomniało mi się w tej chwili to, o czym zapomniałem. To, co mnie tak dręczyło, że czegoś jeszcze brak mojej książce. Teraz już wiem, że brakuje podsumowania.

A przypomniało mi się to w tym momencie, kiedy wypowiedziałem słowa „to jest główna myśl”. No bo o to właśnie będą pytać czytelnicy po przeczytaniu tej książki: — Jaka jest główna myśl tej książki? Co z tego wszystkiego wynika?

HANKA

Jak to możliwe, żeby przy pisaniu książki zapomnieć akurat o tym, co najważniejsze?

FRYDERYK

Od czterdziestu kilku lat, a ściśle od tego dnia, w którym jako uczeń szkoły średniej wziętem do ręki jakąś książkę Freuda i przeczytałem kilkanaście stron o pomyłkach i zapomnieniach w życiu codziennym, przyjąłem — jako fundament mojego psychologicznego myślenia — ten aksjomat psychoanalizy: nie ma żadnej przypadkowości w procesach zapominania. Jeżeli więc zapomniałem o czymś tak bardzo ważnym, to i przyczyna tego zapomnienia musi być czymś niezwykle poważnym. Trzeba było przecież jakiejś potężnej siły, żeby taka ważna rzecz została ruszona z miejsca, przesunięta ze światła — w cień, rzucona z góry w przepaść.

HANKA

Czy udało ci się odkryć, co to była za siła?

FRYDERYK

Tak. To była główna myśl jednej z moich poprzednich książek. W ten sposób stałem się areną, na której doszło do zderzenia dwóch istotnych składników mojej osobowości.

Było to mniej więcej tak. Napisałem już pięćset stron, książka zbliżała się do zakończenia i właśnie trzeba było dopisać to zakończenie, a więc wyłożyć główną myśl, wyciągnąć wnioski z nagromadzonych przesłanek, wyeksplikować to, co w tej książce było ukryte między wierszami. I oto kiedy zabierałem się do pisania podsumowania, wynurzył się ze mnie — jak dajmonian u Sokratesa w czasie rozmowy z Hipiaszem — drugi ważny składnik mojej osobowości i powiedział: — Nie czyn tego! Pisałeś przecież w swoich poprzednich książkach, że w czytelniku należy widzieć partnera, który ma prawo do własnej aktywności myślowej. Nie wolno więc pisać wszystkiego, trzeba zostawiać w książce puste pola, aby czytelnik mógł dopowiedzieć to, co zostało niedopowiedziane, odnaleźć to, co zostało ukryte, uzupełnić to, czego brakuje i w ten sposób stawać się w toku czytania tej książki z odbiorcy — współtwórcą: Parafrazując złośliwe powiedzenie świętego Augustyna: *Faciat aliquid et lector.* [1]

Ten drugi głos podziałał na mnie hipnotyzująco i zmusił mnie do zapomnienia o pierwotnym zamiarze podsumowania książki.

HANKA

Przypomnij mi coś, o czym zapomniałem, chociaż wiem, że kiedyś już zadawałam ci to pytanie. W latach, kiedy razem chodziliśmy na wykłady Witwickiego, pasjonowałeś się psychologią, entuzjazmowałeś się Witwickim, łączyły cię z nim niezwykle serdeczne stosunki, jakże więc to się stało, że ostatecznie pracę magisterską pisałeś nie u niego, ale u Tatarkiewicza?

FRYDERYK

Mówiłem ci już kiedyś, że decyzję zostania historykiem filozofii podjąłem jeszcze w szkole średniej, kiedy miałem 13 lat. Z takim postanowieniem zapisywałem się w pięć lat później na uniwersytet, wiedząc, że studiować będę przede wszystkim pod kierunkiem Tatarkiewicza. Uważałem jednak — i uważam tak nadal — że kto chce być dobrym historykiem filozofii, musi znać się na psychologii, ponieważ nie ma myśli niczyich; każda myśl jest czyjąś myślą i dla jej adekwatnego zrozumienia trzeba umieć odtworzyć o s o b o w o ś ć, która stanowi psychologiczny kontekst tej myśli — a także sytuację psychologiczną; w której dana myśl pojawia się i biegnie, jak iskra, od człowieka do człowieka. Dlatego zacząłem chodzić na wykłady Witwickiego. Nie przewidywałem tylko tego, że zostanę Witwickim zauroczony i że dzięki fascynacji jego osobowością moje studia psychologiczne przekroczą granice tego, co było przeze mnie zaprojektowane jako minimum niezbędne historykowi filozofii. W związku z tym zacząłem nawet pisać pracę magisterską z psychologii...

HANKA

Na jaki temat?

FRYDERYK

To miała być praca o marzeniach sennych. Przez wiele miesięcy, dzień po dniu, notowałem własne sny i dokładnie je analizowałem.

HANKA

I do jakich wniosków doszedłeś?

FRYDERYK

Dokonałem kilku odkryć. Najważniejsze z nich były trzy. Odkrycie pierwsze dotyczyło rozmiarów marzeń sennych. Przystępowałem do badań z przekonaniem, podzielanym przez wszystkich, którzy sami nie przeprowadzali takich badań, że sny są krótkie i zdarzają się co kilka dni. Pierwszy okres badań wydawał się to potwierdzać. Plony pierwszego tygodnia były bardzo mizerne: było kilka takich dni, kiedy rano nie mogłem sobie nic przypomnieć i wydawało mi się, że w nocy w ogóle nic mi się nie śniło, i jakieś trzy dni, kiedy uchwycone strzępki snu dały się opisać w dwóch, trzech zdaniach. Dwa następne tygodnie były zupełnie inne. Nastawienie na przypominanie sobie snów i trochę praktyki w chwytaniu strzępów zaczęło dawać wyniki. Przypominałem sobie coraz więcej i wkrótce notatki poranne z kolejnych snów zaczęły się rozrastać: najpierw z kilku do kilkunastu zdań, potem z kilku do kilkunastu stron. W następnych miesiącach zdarzało się, że budziłem się po kilka razy w ciągu nocy, żeby pospieszenie zanotować to, co w czasie snu wydało mi się godne szczególnej uwagi i zapamiętania. A rano dokładne opisywanie tego wszystkiego, co śniło mi się w ciągu całej nocy, zajmowało po dwie, trzy i cztery godziny. Czasem na zanotowanie jednego snu nie wystarczał już jeden zeszyt. To był pierwszy cenny wynik przeprowadzanych badań: marzenia senna mają ogromne rozmiary, tylko trzeba nauczyć się je obserwować, przypominać sobie, notować.

Odkrycie drugie dotyczyło czasu. Przed rozpoczęciem badań sądziłem, że czas jest podobny do prostej, cienkiej strzałki, porządkującej wydarzenia według zasady wcześniejszości i późniejszości. Tymczasem okazało się, że marzenia senna mają inną strukturę czasową. Miałem w życiu kilka takich przebudzeń, w których cała bogata treść snu dana mi była jednocześnie. To, co wcześniejsze i to, co późniejsze było na jednym obrazie obok siebie, splecione ze sobą. Nie wiedziałem jak to notować, bo jakakolwiek kolejność opisu stanowiła wyraźnie subiektywną deformację jednoczesności. To samo zresztą występuje u mnie czasem w pracy naukowej i dydaktycznej. Zdarzają mi się takie kłopoty na wykładach: czuję, że należałoby o pewnych sprawach mówić nie kolejno, ale naraz, ponieważ omawianie jednego elementu po drugim stanowi rozbitcie ich dialektycznej jedności.

Odkrycie trzecie dotyczyło sensu marzeń sennych. Przed rozpoczęciem badań sądziłem, że marzenia senna są terenem regresu: z wysokich pięter jasnego, przytomnego, racjonalnego, krytycznego myślenia schodzimy w podziemia nieracjonalnych, nielogicznych kojarzeń; człowiek cywilizowany staje się w marzeniach sennych człowiekiem pierwotnym, wierzącym w czary i cuda, a jednocześnie pozbawionym moralnych hamulców. W obfitości zebranych materiałów znalazły się jednak i takie sny, w których podmiot budujący marzenia senna okazywał się mądrzejszy od tego podmiotu, którym byłem na jawie. Nie tylko mnie, również wybitnym artystom i uczonym zdarzało się, że właśnie we śnie pojawiało się rozwiązanie jakiegoś problemu, nad którym na próżno męczyli się na jawie. Jeszcze częściej sny przynosiły ze sobą interesujące pomysły. Doszedłem więc do przekonania, że jeśli w ciągu dnia myślimy intensywnie o jakiejś sprawie, to po zaśnięciu — chociaż o tym nie wiemy — mózg pracuje w dalszym ciągu i w procesie nieświadomej cerebracji może rozwiązywać te zadania, nad którymi zaczął się męczyć przed zaśnięciem.

HANKA

Opowiedz mi kilka swoich snów.

FRYDERYK

Chętnie. Opowiem trzy, których zaletą jest to, że były krótkie i że jak soczewka pokazują w postaci skoncentrowanej i ostrej to, co ważne. Spośród setek rozmaitych snów te trzy utkwiły mi najsilniej w pamięci. Pierwszy śnił mi się bardzo dawno, drugi śnił mi się kilka razy, a trzeci dobrze pamiętam, bo śnił mi się dzisiejszej nocy. Można je zaopatrzyć tytułami: pierwszy był snem o Wieliczce, drugi — snem o wyśnionym zeszycie, trzeci - snem o zielonej anestezjolożce.

Tło pierwszego snu było następujące. Zacząłem odczuwać pociąg seksualny do osoby, która z pewnych względów powinna była stanowić dla mnie tabu. Było więc dla mnie rzeczą oczywistą, że pociąg ten musi zostać stłumiony, a osoba ta nigdy nie powinna się o tym dowiedzieć. Staralem się o niej nie myśleć i sądziłem, że mi się to udało. Okazało się jednak, że ten podmiot, który we mnie wytwarza moje marzenia senna, nie zamierzał bynajmniej podporządkować się temu zakazowi. Bezpośrednią okazją była wieczorna rozmowa o kimś, komu lekarz nie pozwolił dodawać do potraw soli. Ten zakaz lekarza skojarzył się komuś z kopalnią soli w Wieliczce, a mnie przypomniało się wtedy, że kiedy zwiedzałem Wieliczkę, to

był tam cudzoziemiec, rodem z dalekiego Ekwadoru, z którym nawiązałem interesującą rozmowę: ja mówiłem po włosku, on po hiszpańsku.

A teraz treść snu. Byłem na dnię kopalni soli w małej, cudownej kryształowej komnacie, mieniącej się tęczowymi światłami. Była tam także Ona, piękniejsza niż kiedykolwiek na jawie i — jak się okazało - również zakochana we mnie. Sądziłem, że o moich uczuciach do niej nikt nie wie, a tymczasem Ona odgadła, co czuję. Wyciągnęła do mnie ręce, ale ja cofnąłem się, bo pamiętałem, że „nie wolno”. I wtedy wypowiedziała słowa, które rozproszyły moje skrupuły: — Chodź, nie obawiaj się, jesteśmy przecież w N i e l i c z c e.

Oto i cały sen. Po przebudzeniu długo jeszcze było we mnie obecne wspomnienie niewysłowionej rozkoszy, w której drogą analizy wyodrębniłem trzy różne składniki: pierwszy — związany z podnieceniem erotycznym, z zaspokojeniem pragnienia, drugi — związany z brakiem wyrzutów sumienia, ponieważ uznawany przeze mnie zakaz nie miał na terenie snu mocy obowiązującej, i wreszcie trzeci składnik — podziw dla własnej pomysłowości, dla umiejętności wymyślenia sposobu obejścia moralnej cenzury, a także i przede wszystkim zachwyty nad stworzonym przez siebie słowem: Nieliczka, czyli taka cudowna kraina, w której każde pragnienie może zostać zaspokojone, ponieważ nie obowiązują w niej żadne zakazy, a to, co się robi, nie liczy się; w tym sensie, że nie ponosi się za to żadnej odpowiedzialności, nie trzeba się tego wstydzić, nie trzeba nic ukrywać.:

Ta wymyślona przeze mnie Nieliczka była potrójną zbitką: po pierwsze z kopalni soli w Wieliczce, która znajduje się głęboko pod powierzchnią ziemi, a więc w świecie podziemnym, gdzie nie obowiązują prawa świata ziemskiego; po drugie z Ekwadoru, który znajduje się gdzieś na drugiej półkuli, a więc tam, gdzie wszystko jest odwrócone do góry nogami: to, co dla nas jest na dole, dla nich znajduje się na górze, a więc i to, co u nas jest zakazane, to u nich jest dozwolone; po trzecie z dźwięku słowa „Wieliczka”, kojarzącego się z liczeniem i z nieliczeniem się z zakazami.

Gdybym kiedyś napisał książkę o marzeniach sennych, to na pewno umieściłbym na okładce tytuł: Nieliczka, bo słowo to znakomicie odsłania istotę wyzwalającej i kompensacyjnej funkcji snów.

HANKA

Czy wiesz, że pod kierunkiem profesora Witwickiego prowadził badania nad marzeniami sennymi doktor Bagno?

FRYDERYK

Tak. Czytałem jego pracę, referującą wyniki badań. Była wydrukowana w „Księdze pamiątkowej ku czci profesora Witwickiego” i początkowo miałem nawet taki zamiar, żeby w książce o Witwickim uczynić doktora Bagno główną postacią jednego z dialogów. Miał to być oczywiście dialog o marzeniach sennych. Ale nie mogłem sobie przypomnieć ani rozmów, które z nim prowadziłem, ani jego wyglądu i ostatecznie, zamiast o snach napisałem dialog o poezji sądząc, że czytelników bardziej zainteresują, związki łączące Witwickiego z Leopoldem Staffem niż mało znany szerszym kręgom doktor Bagno.

HANKA

Witwicki często mówił o tym, że poezja jest czymś zbliżonym do marzeń sennych. Zauważyłam, że LEOPOLD jest znacznie krótszy od pozostałych dialogów, możesz więc jeszcze uzupełnić rozważania o poezji rozważaniami o snach.

Na razie jednak opowiedziałeś mi dopiero jeden sen. A dwa pozostałe?

FRYDERYK

Drugi sen śnił mi się, jak już powiedziałem, kilka razy. Przychodził zawsze w podobnych okolicznościach, kiedy kończyłem jakąś większą pracę. Bo kiedy piszę książkę, to zwykle jest tak, że początek jest trudny i przypomina pchanie ciężkiego wozu pod górę. Zdarza się, że mam czas, dużo „czasu w jednym kawałku” jak mawiała Beata Obertyńska, czy też może jej matka, Maryla Wolska, a więc jakieś trzy czy cztery dni przeznaczone wyłącznie na pisanie. Niestety, układanie zdań idzie opornie, a kiedy po całym dniu siedzenia przed maszyną do pisania odczytuję dwie wystukane stroniczki, dochodzę do przekonania; że należało napisać jakoś inaczej. I tak to się ciągnie mniej więcej do połowy książki. Wtedy nagle wszystko się zmienia. Jakbym wjechał na szczyt góry i teraz zjeżdżał na dół. Wóz zjeżdża sam, książka pisze się sama. Zaczynam pisać dziennie po dziesięć i dwadzieścia stron, a zdarzają się dni rekordowe: trzydzieści stron maszynopisu dziennie. I oczywiście to, co jest pisane w taki sposób, jest znacznie lepsze od tego, co, posiada taką samą objętość a było pisane kilka tygodni. W pierwszym okresie zastanawiałem się nieraz, czy nie zaplanowałem zbyt wielu

arkuszy i czy potrafię je wszystkie wypełnić interesującą treścią, a w ostatniej fazie pracy przekraczam zwykle limit o kilkadziesiąt stron, a ponieważ nadchodzi termin oddania maszynopisu do wydawnictwa, oddaję tekst z żalem, że nie starczyło miejsca na to, co miałem jeszcze do powiedzenia.

I w takiej właśnie sytuacji zjawia się ów sen. Noc. Jestem sam w małym pokoiku. Byłoby zupełnie ciemno, gdyby nie cudowny blask bijący od zeszytu leżącego na stole. To jest właśnie ten „wyśniony zeszyt”, w którym znajduje się coś najcenniejszego, jakieś moje wiersze czy myśli, przewyższające odkrywczością, głębią, trafnością sformułowań wszystko, co kiedykolwiek w życiu napisałem. Ogarnia mnie wtedy uczucie niewysłowionego szczęścia, wyrastające z przekonania, że nie żyłem na próżno, że zrealizowałem to gadanie, dla którego przyszedłem na świat. Wydaje mi się, że mam skrzydła. Zbliżam się do okna i przyglądam się szafirowemu niebu z milionami maleńkich brylantów. I płynę przez to niebo, między gwiazdami, cudownie lekki, bo nie dźwigam już żadnego ciężaru, bo wykonałem zadanie, które miałem wykonać.

Budzę się i przez pewien czas rozkoszuję się tym szczęściem, jakie daje latanie we śnie i poczucie, że stworzyło się coś doskonałego. Potem, zdając sobie sprawę, że to nie sen, chcę się upewnić, że ten zeszyt, który widziałem we śnie, istnieje rzeczywiście. Będę więc mógł za chwilę wziąć go do ręki i odczytać sobie jeszcze raz tekst, będący najwyższym osiągnięciem mojego życia. I wtedy pojawia się niepokój, czy ten tekst istnieje, czy rzeczywiście udało mi się zapisać to, co chwilami pojawiała się w ostatniej fazie pracy nad książką, ale zaraz zniknęło, zanim zdążyłem zanotować. Potem niepokój przechodzi w pewność. Niestety, to był tylko sen, tego doskonałego tekstu nie ma. Miejsce szczęścia zajmuje żal za czymś, co było tak blisko i zostało utracone.

HANKA

Czy w ostatnich dniach też miałeś taki sen?

FRYDERYK

Jeszcze nie. Ale mój stan na jawie przypomina to, co przed chwilą opisałem. O napisanej przez siebie książce myślę z mieszanymi uczuciami: jedną częstką mojej osobowości cieszę się z tego, co napisałem, bo to, co wyszło, jest mniej więcej tym, co zostało zaprojektowane i, być może, jest lepsze od tego wszystkiego, co napisałem w poprzednich latach. Niestety, drugą częstką mojej osobowości odczuwam dziwny niepokój, że jeszcze czegoś w tej książce brak, że w ostatniej fazie pracy, wtedy właśnie, gdy wystukiwałem na maszynie po dwadzieścia kilka stron dziennie, obrazów i pomysłów było znacznie więcej, a ponieważ pojawiały się nie po kolei, ale wszystkie naraz, więc tylko niektóre zdążyłem utrwalić, a inne — i to właśnie te najcenniejsze, najbardziej niezwykłe i odkrywcze — rozwiały się. Więc żal, że utraciłem je, być może, na zawsze.

I chyba na tym tle pojawił się ten trzeci sen, który chciałem ci opowiedzieć. Ten sen, który śnił mi się dzisiejszej nocy.

Początek był nawet dość przyjemny. Rozmawiałem z jakąś miłą panienką: ona po jednej, ja po drugiej stronie biurka. Ona była u siebie, a ja przyszedłem do niej w jakiejś sprawie, która wydawała mi się mało ważna, a wkrótce miała się okazać groźna. Panienska była ubrana na zielono. Miała nie tylko zieloną sukienkę, ale także zielone oczy i pomalowane na zielono powieki. Przypomniało mi to pewną sytuację sprzed trzech lat. Byłem w szpitalu, na stole operacyjnym, za chwilę miałem zostać uśpiony, a przy mnie stała anestezjolożka i też wszystko było zielone: ściany, światło, kitle lekarzy, zabawne czapeczki na ich głowach, a przede wszystkim ona była zielona i to właśnie były moje ostatnie słowa wypowiedziane przed operacją, że podobają mi się jej zielone powieki, bo wytwarzają pogodny, spokojny nastrój, którego nic nie zakłóca i nie rozprasza.

A więc rozmawiam we śnie z lekarką i zamierzam wstać, pożegnać się, odejść, ale z jej słów wynika, że muszę zostać, że trzeba będzie natychmiast przeprowadzić różne badania. Nie mogę wrócić do domu, muszę zostać w szpitalu położyć się do łóżka, bo „rośnie we mnie jakieś ciało gąbczaste” — tak właśnie to określiła, a ja od razu domyśliłem się, że to jest rak.

- Ależ ja nie mogę zostać — protestowałem — mam wiele ważnych spraw do załatwienia. Przyjdę za kilka dni.

- Nie. Badania trzeba przeprowadzić natychmiast. To ciała gąbczaste rośnie bardzo szybko. Nie ma już czasu. Wszystko inne nie ma już żadnego znaczenia.

HANKA

I co było dalej?

FRYDERYK

Nic. Obudziłem się i uprzytomniłem sobie całą potworność tego snu.

HANKA

Lęk przed rakiem?

FRYDERYK

Może to się wyda nieprawdopodobne, ale do tego raka ze snu miałem zupełnie inny stosunek, niż przypuszczasz. Odczuwałem, że to jest m ó j rak, składnik mojej osobowości, który wywoła pewne zamieszanie, ponieważ rośnie zbyt szybko i chce osiągnąć przewagę nad innymi składnikami. Buntowałem się przeciwko operacji, bo nie chciałem utracić czegoś, co nie tylko przebywa we mnie, ale j e s t w jakimś sensie m n ą. A potworność snu polegała na czymś innym, na tym, że „nie ma już czasu” na dokończenie czy poprawienie prac, które rozpocząłem.

Nie chodziło w tym śnie o mnie, o moje zdrowie ani o to „ciało gąbczaste”, ale o te sprawy, które znajdowały się na zewnątrz mnie i zaczynały się jakoś ode mnie uniezależniać, bo zielona anestezjolożka zdecydowała bezapelacyjnie, że od tej chwili nie mogę już się nimi zajmować.

HANKA

Jak interpretujesz ten sens

FRYDERYK

Nie mam żadnych wątpliwości co do tego, że był to sen o Witwickim, a nawet więcej, sen o centralnym problemie tej książki.

HANKA

Jak to możliwe?

FRYDERYK

Mówiłem już o tym, że w ostatnich tygodniach żyłem wyłącznie pisaną przez siebie książką. Wszystko inne straciło dla mnie w tym okresie znaczenie: chodziło tylko o to, żeby rozpocząć książkę dokończyć i nadać jej kształt możliwie najdoskonalszy. Rzecz jasna, że w takiej sytuacji również sny zostały wciągnięte w ten sam nurt. Nic dziwnego, że kilka razy śnił mi się Witwicki i te osoby, które — jak na seansie spirytystycznym - wywoływałem kolejno ze Świata Cieni.

Mówiłem także o tym, że po ukończeniu książki pojawił się niepokój. Czułem, że o czymś zapomniałem, że coś bardzo ważnego, co powinno być znaleźć się w, tej książce, znajduje się wciąż jeszcze poza napisanym przeze mnie tekstem, chociaż kilkakrotnie pojawiało się — na jedno oka mgnienie — w mojej świadomości. Nie mogę jednak przypomnieć sobie, co to właściwie było.

Kilka dni temu odczytałem fragmenty książki moim asystentom. Wywiązała się dyskusja. Padło wiele pytań, a wśród nich jedno, które zmusiło mnie do ponownego przemyślenia całej koncepcji pracy. Nie czyniłem tego zbyt chętnie, bo przecież praca była już gotowa i nie było już czasu, żeby ją w sposób zasadniczy przerabiać.

HANKA

Cóż to było za pytanie?

FRYDERYK

Dotyczyło ono wzajemnych stosunków pomiędzy Witwickim a jego uczniami. Moim asystentom nie podobał się stosunek Witwickiego do asystentki. Zauważono, że był czasem niegrzeczny, że zbyt często podnosił głos i krzyczał na nią z byle powodu, albo i bez żadnego powodu.

HANKA

Ale tak przecież było. Ja też pamiętam, że jego zachowanie wobec pani Estery, a także wobec niektórych studentów i studentek, już wtedy budziło moje zastrzeżenia. Ale to nie powód, żeby przerabiać książkę.

FRYDERYK

W postawionym pytaniu nie chodziło tylko o to, że krzyczał. Nawiązując do tych fragmentów, które odczytałem zapytywano, czy we wszystkich dialogach występuje tylko jeden k i e r u n e k o d d z i a ł y w a n i a: z góry na dół. Postawiono mi zarzut, że to nie są prawdziwe dialogi, takie, w których dochodzi do zderzenia różnych stanowisk, ale hagiograficzna gloryfikacja olbrzyma, którego wypowiedzi uważane są przez uczniów za

wyrocznię. Uczniowie z oczami wzniesionymi do góry słuchają tego, co powie Witwicki i nie mają własnego zdania.

HANKA

Jeżeli to prawda, to rzeczywiście należy napisać książkę na nowo. Pamiętasz, że w czasach studenckich nie podzielałam twojego entuzjazmu dla Witwickiego, sądziłam jednak, że z upływem lat zdobyłeś pewien dystans i potrafisz krytycznie ocenić jego osobę i poglądy.

FRYDERYK

Myślę, że nie o to chodzi. Pomijam także i to, że zarzut był postawiony na podstawie powierzchownego zapoznania się z drobnymi i nie najlepiej dobranymi fragmentami kilku dialogów. Sens pytania był nieco inny: czy spotkania z Witwickim były czynnikiem, który jednostronnie wpływał na formowanie się osobowości jego uczniów, czy też zdarzało się i odwrotnie, że pod wpływem uczniów Witwicki zmieniał swój pogląd na jakąś sprawę?

HANKA

To rzeczywiście interesujące pytanie. O ile znam Witwickiego, sądzę, że takie rzeczy nie zdarzały się. Witwicki zbyt wyraźnie górował wiedzą, autorytetem i umiejętnością dyskusowania nad swoimi uczniami, aby mogło zachodzić jakiegokolwiek wzajemne oddziaływanie. A jeśli tak było, to trudno, trzeba się z tym pogodzić. To wina sytuacji, a nie twojej książki. Co najwyżej mógłbyś ją uzupełnić dialogami, w których młody Witwicki uczy się czegoś od Twardowskiego, Dybowskiego i jakichś innych swoich nauczycieli. To mogłoby w jakiejś mierze przywrócić równowagę.

FRYDERYK

To nie zdałoby się na nic. Jednostronne oddziaływanie Twardowskiego na Witwickiego nie zmieniłoby zakwestionowanego charakteru dialogów. Zmiana roli nauczyciela na rolę ucznia nie zmieniłaby faktu, że i w tych dialogach mielibyśmy do czynienia tylko z jednym kierunkiem oddziaływania: z góry na dół.

HANKA

A więc jakie widzisz wyjście?

FRYDERYK,

Zrozumiałem, że muszę zdobyć się na zwiększony wysiłek myślowy. Jeszcze raz przywołać przed oczy całość materiałów, jeszcze raz przyjrzeć się spotkaniom Witwickiego z uczniami i sprawdzić, czy nie zdarzyło się, że pod ich wpływem zmienił się jego pogląd na jakąś sprawę.

HANKA

No i co? Czy zdarzyło się coś takiego?

FRYDERYK

Tak.

HANKA

A czego dotyczyła ta zmiana poglądów? Czy jakiejś sprawy istotnej?

FRYDERYK

Najistotniejszej. Chodziło o pogląd na poezję, a nawet szerzej, o pogląd na sztukę i w konsekwencji o pogląd na strukturę osobowości. Inaczej mówiąc, chodziło o te sprawy, które znajdują się w samym centrum mojej książki o Witwickim, a znajdują się na tym miejscu także dlatego, że stanowiły one przez kilkadziesiąt lat główny przedmiot jego rozważań.

HANKA

Z tego dialogu, który mi dziś odczytałeś — o Mickiewiczu, Staffie i poezji międzywojennej — nie wynika wcale, że w poglądach Witwickiego coś się zmieniło, ani co gorsza to, żeby na temat poezji miał w ogóle coś interesującego do powiedzenia. Mam nawet pewne wątpliwości, czy warto przypominać jego wypowiedzi o Tuwimie i Słonimskim.

FRYDERYK

Ale o to właśnie chodzi, że Witwicki — rozmawiając, ze mną o poetach — nie powiedział mi wówczas wszystkiego. W szczególności nie wspominał wówczas o swojej uczennicy, poetce Kazimierze Jeżewskiej, a to właśnie pod jej wpływem zmienił się jego pogląd na poezję.

Zacznę jednak od początku. Sądzę, że Witwicki popełnił na samym wstępie fatalny błąd absolutyzując dwie kategorie filozoficzne wzięte z filozofii platońskiej, mianowicie prawdę i piękno, czyniąc przy tym fałszywe założenie, że te dwie kategorie są podstawą radykalnej przeciwstawności między nauką i sztuką, ponieważ wyłącznym celem nauki jest prawda, a

celem sztuki nie jest prawda, lecz piękno.

Jak wielu myślicieli z jego pokolenia Witwicki znalazł się w latach swojej młodości — w polu napięć wytworzonym przez dwa potężne prądy: z jednej strony pozytywistyczny scjentyzm, z drugiej neoromantyczny, młodopolski estetyzm. Rozdzierany przez zinterioryzowaną sprzeczność między tymi prądami, Witwicki czuł w sobie — jak Platon i Goethe — „dwie dusze”, jedną pragnącą służyć wyłącznie prawdzie i drugą pragnącą służyć wyłącznie pięknu: duszę badacza i duszę artysty. Jako badacz, Witwicki zauważa niebezpieczeństwo grożące kulturze ze strony tych, którzy zamazują różnice pomiędzy Nauką i Sztuką, posługując się poezją i teatrem dla wpajania ludziom — pod osłoną zachwycającej mglistości i tajemniczości — nieracjonalnych przekonań. Stąd wniosek Witwickiego, że nie można służyć obu wartościom naraz, że Naukę i Sztukę trzeba od siebie w rygorystyczny sposób oddzielać: przy odbiorze dzieł sztuki zajmować postawę estetyczną, cieszyć się „złudą” wytworzoną przez wyobraźnię artysty a jednocześnie zachować krytycyzm, aby nie przyjmować za prawdę tego, co zostało podane w pięknej formie, lecz bez racjonalnego uzasadnienia.

Teoretycznie mogło to oddzielanie wyglądać przekonywająco, ale w praktyce trudno się było wciąż rozszczepiać na badacza i artystę, zwłaszcza w takich sytuacjach, kiedy te dwie strony jego osobowości powinny być ze sobą współdziałać, a więc wtedy, gdy przekładał Platona, malował, rysował, pisał książki i wygłaszał wykłady — a więc w sytuacjach dla siebie najważniejszych.

Dręczony przez ten problem, Witwicki stale do niego powracał. Na przykład 12 lutego 1908 roku na posiedzeniu Towarzystwa Filozoficznego we Lwowie wygłosił odczyt pod tytułem „Sztuka a nauka”, podkreślając, że sztuka jest „wytworem uczuć i wyobraźni twórczej a nie wytworem rozumu”, jak gdyby bez udziału „rozumu” w ogóle mogło powstać jakiegokolwiek wartościowe dzieło sztuki. Dodawał, że nie należy „wymagać od nauki piękna a od sztuki prawd”.

Podobne myśli powtórzył Witwicki na Pierwszym Zjeździe poświęconym sprawom organizacji i rozwoju nauki polskiej w kwietniu 1920 roku i na Pierwszym Polskim Zjeździe Filozoficznym w maju 1923 roku. Powtarzał je wielokrotnie w objaśnieniach do dialogów Platona i na wykładach i w rozmowach ze mną.

Nie słuchałem tego potulnie. Próbowałem sprzeciwić się, ale wtedy wstępował w Witwickiego jakiś diabeł — a właściwie nie diabeł, lecz duch umiłowanego Platona, który domagał się wypędzenia poetów z racjonalnie urządzonego państwa.

Wiemy, że Platon podejmując postanowienie o poświęceniu życia filozofii spalił swoje wiersze i potem przez całe życie starał się zniszczyć w sobie artystę. To samo czynił Witwicki: miał w sobie dwie dusze i przeżywał wewnętrzne rozdarcie, ponieważ dusza badacza uważała tę drugą duszę za raka, którego należy wyciąć albo wypalić.

HANKA

Ach, więc to stąd ten rak w twoim śnie.

FRYDERYK

Pogląd Witwickiego na poezję jako domenę pięknego kłamstwa splatał się więc ściśle z jego poglądem na niemożliwość pokojowego współistnienia obu dusz w jednej piersi. Nie chciał uznać tego wewnętrznego rozszczepienia za zjawisko pozytywne.

Dopiero kiedy poznał Jeżewską i znalazł się pod urokiem jej wierszy, zaczął patrzeć na te sprawy nieco inaczej. Świadczą o tym jego objaśnienia do platońskiego „Eutydema”.

HANKA

Chyba coś pomyliłeś. Kupiłam sobie „Eutydema”, ponieważ zauważyłam, że jest to przekład Witwickiego. Ale z wszelką pewnością nie ma tam jego objaśnień.

FRYDERYK

Nie wiem, czym kierowało się wydawnictwo drukując ten dialog — wbrew tradycji — bez objaśnień Witwickiego. Mam u siebie odpis tych objaśnień, liczą one 16 stron maszynopisu. Być może mam je nawet ze sobą w teczce. Tak. Pozwól, że ci przeczytam kilka zdań: O, na przykład z objaśnień do rozdziału XXXI, w którym Platon rozważa problem, czy można łączyć dwie różne specjalności. "Można być pewnym — pisze Witwicki — że stosował je (to znaczy te rozważania) nieraz i sam do siebie. Wtedy musiał sobie tak myśleć: Komedia jest rzeczą dobrą i nauka też.

Ja jestem po trochu komediopisarz, a po trochu naukowiec. I to jest moja słaba strona. Pisałbym świetne komedie, gdybym dialogów nie obciążał nauką, i dawałbym doskonałe dzieła

naukowe, gdyby mnie nie kusiło dramatyzowanie rozmów i liryka, która mi się wyrывa, i przenośnie, i obrazy, i mity. To sobie powiedziawszy zasiada na starość do pisania swoich „Praw” i napisał rzecz zupełnie nudną, której nie podobna przeczytać bez wysiłku. To nie jest robota artystyczna. Zawsze mu się zdawało, że trzeba być specjalistą i robić to jedno tylko, do czego się ma zdolność największą i, broń Boże, nie robić niczego innego ... I tu się grubo pomylił ...”

Zwróć uwagę, że Witwicki pisze tu o Platonie, a myśli o sobie. To jest samokrytyka. To Witwicki przyznaje, że się pomylił. Przeczytam to ostatnie zdanie jeszcze raz:

„I tu się grubo pomylił, jak tego dowodzą jego własne dzieła. Nie wiadomo, czy więcej w nich nauki, czy więcej sztuki i niech tak stoją dalsze tysiące lat. Dobre i piękne”, należało napisać nieco inaczej: „rozumne i piękne — jednocześnie”. Czytam dalej: „Więc może jednak nie miał słuszności Platon, kiedy sądził, że dwie różne specjalności, połączone w jednej osobie, zawsze sobie przeszkadzają nawzajem... Czasem tak bywa, ale zawsze tak być nie musi.”

I podsumowanie: znów niby o Platonie, a w rzeczywistości o samym sobie: „Znaczy to, że nie był w zgodzie sam ze sobą, bił się z myślami i szarpał się między tendencjami przeciwnymi dlatego, że sam miał naturę bogatą i rwało go w różne strony ...”

HANKA

To głęboko przejmujące wyznanie, zwłaszcza, że czynione pod koniec życia.

Ale wiesz, co przyszło mi na myśl, kiedy kilkakrotnie podkreślałeś, że Witwicki pisze o Platonie, a myśli o sobie? Że dotyczy to także ciebie. Piszesz o Witwickim, a przecież z tobą jest podobnie. Sam wspominałeś, że pisząc wiersze, powieści, dialogi masz nieczyste sumienie. Obawiasz się, że w głowach niektórych czytelników może powstać zamęt, ponieważ nie będą potrafili zorientować się, co w twoich pracach jest prawdą a co zmyśleniem.

A jeśli tak, to może i ten sen, który miałaś dzisiejszej nocy, nie jest snem o Witwickim, ale snem o samym sobie. Może ta zielona anestezjolożka, która podejmuje decyzję o dokonaniu operacji wycięcia raka, to głos sumienia pracownika naukowego, który chciałby cię skłonić do pisania wyłącznie prac naukowych. Podobnie jak u Platona i Witwickiego: brak tolerancji ze strony jednego składnika osobowości w stosunku do drugiego składnika.

Niezmiernie charakterystyczna jest twoja reakcja na słowa anestezjolożki. Przecież każdego innego człowieka ogarnęłoby na twoim miejscu przerażenie. A ty sprzeciwiasz się we śnie operacji, dlatego, że to twój rak i chcesz nadal mieć go w sobie, broniąc się przed usunięciem go, bronisz swojej własnej tożsamości.

Czy przeczytałeś moją książkę?

FRYDERYK

Tak. Przyszedł mi zresztą w związku z tą książką pewien pomysł. Książka twoja ma tytuł: „Pierwsze kroki wśród ludzi”. Czy nie powinnaś napisać książki, która stanowiłaby istotne uzupełnienie, a nosiła tytuł: „Ostatnie kroki wśród ludzi”?

Sama zresztą musiałaś odczuwać tę potrzebę, bo w najciekawszym rozdziale tej książki, rozdziale o „niezniszczalnej warstwie” jest coś w rodzaju załączka tej następnej książki. Wszystkie pozostałe rozdziały dotyczą małych dzieci, tych istot, które stawiają „pierwsze kroki”. A tu nagle pojawia się ni stąd, ni zowąd osiemdziesięcioletnia „pani Wacława” a wraz z nią najważniejszy wątek teoretyczny twojej książki.

Wprowadzenie tej staruszki było ci potrzebne jako dowód, że warto starannie badać wszystko, co dotyczy najwcześniejszej fazy rozwoju człowieka, o której pospolicie sądzi się, że całkowicie z niej wyrastamy. Wbrew temu podkreślasz, „że najwcześniejsze przeżycia, choć wyrastamy z nich i całkowicie o nich zapominamy, pozostawiają trwałe piętno na psychice człowieka”. „Każdy człowiek — piszesz dalej — stanowi więc jakby wielkie archiwum, w którym od chwili urodzenia gromadzone są i przechowywane wszystkie jego przeżycia, jak codzienne gazety składane jedna na drugą tworzą coraz to wyższy stos.

Te najdawniejsze roczniki, pokryte kurzem, przytłoczone ciężarem warstw nowszych są niemal niedostępne, ale istnieją i do końca życia człowieka nie znikną. Znane są przecież powszechnie fakty z życia ludzi bardzo starych, u których „do głosu dochodzą wczesnodziecięce warstwy pamięci i zaczyna działać ukryte dotychczas, ale zawsze żyjące w nas małe dziecko”.

Widzisz w tym działanie praw rządzących ewolucją psychiczną i znalazłaś dla nich piękną nazwę. Nazwałaś je „p r a w a m i g e o l o g i d u s z y”. Każdy okres życia — piszesz dalej — począwszy od tego najwcześniejszego, zostaje w naszych zwojach mózgowych zapisany na zawsze i w każdym z nas żyje do końca i dziecko dziesięcio i pięcioletnie, i dwulatek, i

niemowlę." Poszczególne warstwy nie giną w człowieku nigdy, ale żyją utajonym życiem wewnątrz naszej osobowości."

Bardzo pomocna była mi twoja książka. To, co piszesz o wielowarstwowej strukturze osobowości, utwierdza mnie w przekonaniu, że obrałem właściwą drogę, koncentrując wokół tego problemu całą moją książkę o Witwickim.

Pozwól jednak, że do ogródka twoich rozważań wrzucę trzy kamyki, a ściślej trzy słowa, których chyba nie znasz, bo nie używasz ich w swoich pracach, a sądzę, że mogą ci się przydać. Oba słowa pochodzą z polskiej literatury psychologicznej okresu międzywojennego, a znalazłem je przypadkowo, wertując roczniki różnych czasopism w poszukiwaniu prac Witwickiego i wzmianek o Witwickim. Pierwsze z tych słów znalazłem w „Psychometrii” z 1934 roku. Wydrukowano tam artykuł Stefana Frycza z jego propozycją podziału „całokształtu psychologii” na dziesięć podstawowych dyscyplin. Zafascynowała mnie w tym podziale dyscyplina piąta, nazwana przez Frycza „psychoptychologią” od greckiego słowa ptyche czyli warstwa. „Psychoptychologia powiada Frycz — jest działem psychologii, który odgrywa w niej rolę podobną do tej, jaką geologia ma wśród nauk przyrodniczych. Zajmuje się ona powstawaniem i zmienianiem się struktur dusz pod wpływem rozmaitych czynników, przeżyć i okoliczności życiowych."

Drugie słowo chcę ci podrzucić z pewną intencją polemiczną. Sądzę, że w swojej książce „Pierwsze kroki wśród ludzi” przeceniasz okres niemowlęctwa. Mam wątpliwości, czy rzeczywiście ten najwcześniejszy okres ma znaczenie decydujące dla charakteru i postawy człowieka. Gdyby tak było, to cała praca nauczycieli gimnazjalnych i profesorów uniwersytetu byłaby, działaniem spóźnionym bez większego wpływu na formowanie się osobowości, której zasadniczy trzon zastał już uformowany w niemowlęctwie. Dlatego nie umniejszając bynajmniej doniosłości badań nad najwcześniejszym okresem życia człowieka, należałoby równocześnie podkreślać jeszcze większą doniosłość dyscypliny nazywanej w latach trzydziestych a k m e o l o g i ą, która miała zajmować się życiem psychicznym człowieka dojrzałego. Osobiście, zgodnie z etymologią słowa akme, wołałbym przez akmeologię rozumieć „naukę o szczytach życia psychicznego”, o jego formach najlepiej rozwiniętych — a więc tych, które występują u takich ludzi jak Witwicki. Dlatego właśnie interesujący mnie problem struktury osobowości postanowiłem zbadać na jego przykładzie, sądząc, że pod względem bogactwa osobowości górował on zdecydowanie nad wszystkimi współczesnymi sobie Polakami.

Trzecie słowo również pochodzi od Frycza, a wyjaśnione zostało przez niego w następnym roczniku „Psychometrii”. Słowem tym jest p s y c h o c h o r e z j o l o g i a, czyli nauka o zdolnościach i skłonnościach. „W przeciwieństwie do dotychczasowych badań psychotechnicznych, pochodzących od ujęcia i określenia cech indywidualnych od peryferii — powiada Frycz — należy dążyć do u j ę c i a r d z e n i a czyli ośrodka danej osobowości". Sądzę, że ta myśl uzupełnia twoje porównanie osobowości do stosu kolejnych roczników jakiegoś czasopisma. Może bowiem wydawać się, że liczy się tylko ten ostatni rocznik, najświeższy, ponieważ przykrywa on sobą poprzednie roczniki. Ale Frycz stawia trafne pytanie, który z tych roczników stanowi rdzeń, ponieważ wokół jego treści formuje się cała osobowość — od centralnego ośrodka ku peryferiom. I tu należałoby postawić jeszcze jedno pytanie: — Czy istnieje tylko jeden model struktury osobowości, polegający na koncentracji wszystkich składników wokół jakiegoś jednego ośrodka, czy też można spotkać ludzi, których osobowość ma strukturę policentryczną?

HANKA

O tych dwóch modelach pisał Stefan Baley. I może cię to zainteresuje, że jako przykład człowieka o policentrycznej strukturze osobowości podawał Władysława Witwickiego.

FRYDERYK

Wiem o tym. Mam kserokopię tekstu Baleya — charakterystykę osobowości Witwickiego. Smutne jest tylko to, że zamiast cieszyć się wyjątkowym bogactwem własnej osobowości, Witwicki całe życie zadreślał się odkrywana w sobie wielością dusz. Niepotrzebnie dał sobie wmówić, że powinno się mieć tylko jedną duszę.

*

Tekst pochodzi z książki: A. Nowicki, *Uczeń Twardowskiego. Władysław Witwicki*, Katowice 1983.

Przypisy:

[1] Niechże i czytelnik coś uczyni.

Andrzej Rusław Nowicki

Ur. 1919. Filozof kultury, historyk filozofii i ateizmu, italianista, religioznawca, twórca ergantropijno-inkontrologicznego systemu „filozofii spotkań w rzeczach”. Profesor emerytowany, związany dawniej z UW, UW r i UMCS. Współzałożyciel i prezes Stowarzyszenia Ateistów i Wolnomyślicieli oraz Polskiego Towarzystwa Religioznawczego. Założyciel i redaktor naczelny pisma "Euhemer". Następnie związany z wolnomularstwem (w latach 1997-2001 był Wielkim Mistrzem Wielkiego Wschodu Polski, obecnie Honorowy Wielki Mistrz). Jego prace obejmują ponad 1200 pozycji, w tym w języku polskim przeszło 1000, włoskim 142, reszta w 10 innych językach. Napisał ok. 50 książek. Specjalizacje: filozofia Bruna, Vaniniego i Trentowskiego; Witwicki oraz Łuszczynski. Zainteresowania: sny, Chiny, muzyka, portrety.



[Strona www autora](#)

[Pokaż inne teksty autora](#)

(Publikacja: 19-03-2005 Ostatnia zmiana: 29-07-2005)

[Oryginał.](http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,4023) (<http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,4023>)

Contents Copyright © 2000-2008 Mariusz Agnosiewicz

Programming Copyright © 2001-2008 Michał Przech

Autorem tej witryny jest Michał Przech, zwany niżej Autorem.

Właścicielem witryny są Mariusz Agnosiewicz oraz Autor.

Żadna część niniejszych opracowań nie może być wykorzystywana w celach komercyjnych, bez uprzedniej pisemnej zgody Właściciela, który zastrzega sobie niniejszym wszelkie prawa, przewidziane w przepisach szczególnych, oraz zgodnie z prawem cywilnym i handlowym, w szczególności z tytułu praw autorskich, wynalazczych, znaków towarowych do tej witryny i jakiegokolwiek ich części.

Wszystkie strony tego serwisu, wliczając w to strukturę katalogów, skrypty oraz inne programy komputerowe, zostały wytworzone i są administrowane przez Autora.

Stanowią one wyłączną własność Właściciela. Właściciel zastrzega sobie prawo do okresowych modyfikacji zawartości tej witryny oraz opisu niniejszych Praw Autorskich bez uprzedniego powiadomienia. Jeżeli nie akceptujesz tej polityki możesz nie odwiedzać tej witryny i nie korzystać z jej zasobów.

Informacje zawarte na tej witrynie przeznaczone są do użytku prywatnego osób odwiedzających te strony. Można je pobierać, drukować i przeglądać jedynie w celach informacyjnych, bez czerpania z tego tytułu korzyści finansowych lub pobierania wynagrodzenia w dowolnej formie. Modyfikacja zawartości stron oraz skryptów jest zabroniona. Niniejszym udziela się zgody na swobodne kopiowanie dokumentów serwisu Racjonalista.pl tak w formie elektronicznej, jak i drukowanej, w celach innych niż handlowe, z zachowaniem tej informacji.

Plik PDF, który czytasz, może być rozpowszechniany jedynie w formie oryginalnej, w jakiej występuje na witrynie. **Plik ten nie może być traktowany jako oficjalna**

lub oryginalna wersja tekstu, jaki zawiera.

Treść tego zapisu stosuje się do wersji zarówno polsko jak i angielskojęzycznych serwisu pod domenami Racjonalista.pl, TheRationalist.eu.org oraz Neutrum.eu.org.

Wszelkie pytania prosimy kierować do redakcja@racjonalista.pl